



**Studzienka
i
Raphael**

Studzienka i Raphael

**Co dziewiętnastolatek
ma o niej do powiedzenia?**

LUBLIN 2018

Oby studnia ta upamiętniła wszystkich,
którzy kiedyś czerpali z niej wodę.

Niepamięć i negacja nigdy nie są dobrym rozwiązaniem
– jak bardzo chciałbym poznać tę część mojej rodziny,
która została zgładzona.

Łzy wysychają, pamięć jest wieczna.

לזכור ולא לשכוח

Naszym dziedzictwem musi być czynienie dobra.

KADIMA BEJACHAD HAZAK!

Raphael Mahari
Lublin, 16 kwietnia 2018



Lepsze jutro

Dwie bramy prowadziły Juliana Mahariego do Polski. Pierwsza to oczywiście język i kultura polska – tu nie do przecenienia jest rola jego babci – druga to Lublin. Aż trudno uwierzyć, że Julian dopiero w 1989 roku – już jako dorosły człowiek – po raz pierwszy przyjechał do Polski. „Nagle dotarło do mnie, że miejsce, które od ponad trzydziestu lat znałem jedynie ze słyszenia, naprawdę istnieje” – napisze wiele lat później. Na skutek różnych splotów okoliczności (oczywiście przyjaźń!) właśnie nasze miasto stało się celem jego podróży. A ściślej mówiąc UMCS, z którym związał się na wiele lat. Mija prawie trzydzieści lat od tego pierwszego przyjazdu do Polski, do Lublina, ale dzisiejszy dzień (16 kwietnia 2018 r.) jest szczególny. Ma on związek z tym, co wydarzyło się 75 lat temu, kiedy to podczas pierwszej akcji likwidacyjnej lubelskiego getta (16 marca – 14 kwietnia 1942 r.), do obozu zagłady w Bełżcu Niemcy wywieźli z Lublina 28 tysięcy Żydów. Chcąc upamiętnić te dramatyczne wydarzenia, jego młodszy syn Raphael zrealizował w swojej szkole w Szwajcarii projekt edukacyjny, którego symbolicznym zwieńczeniem stała się renowacja studzienki znajdującej się na placu manewrowym PKS-u. Przypomnijmy, że jest to ostatni materialny ślad w przestrzeni miasta po nieistniejącej już największej ulicy (Szerokiej) żydowskiego Lublina. Ojciec Juliana, a dziadek Raphaela, nosił nazwisko Morgenbesser. Moglibyśmy je przetłumaczyć jako „lepsze jutro”. To, czego jesteśmy dzisiaj świadkami najlepiej oddaje znaczenie tych słów.

Julianie i Raphaelu dziękujemy Wam za to.

Tomasz Pietrasiewicz

Fotografia na stronie obok: studzienka w okresie funkcjonowania getta na Podzamczu, fot. NN, ok. 1941 r., archiwum Symchy Wajsa



STUZIENKA

Rewitalizacja

W 2017 roku, z okazji 700-lecia lokacji Lublina na prawie magdeburskim, powstała inicjatywa rewitalizacji obudowy studzienki przy ulicy Ruskiej w Lublinie.

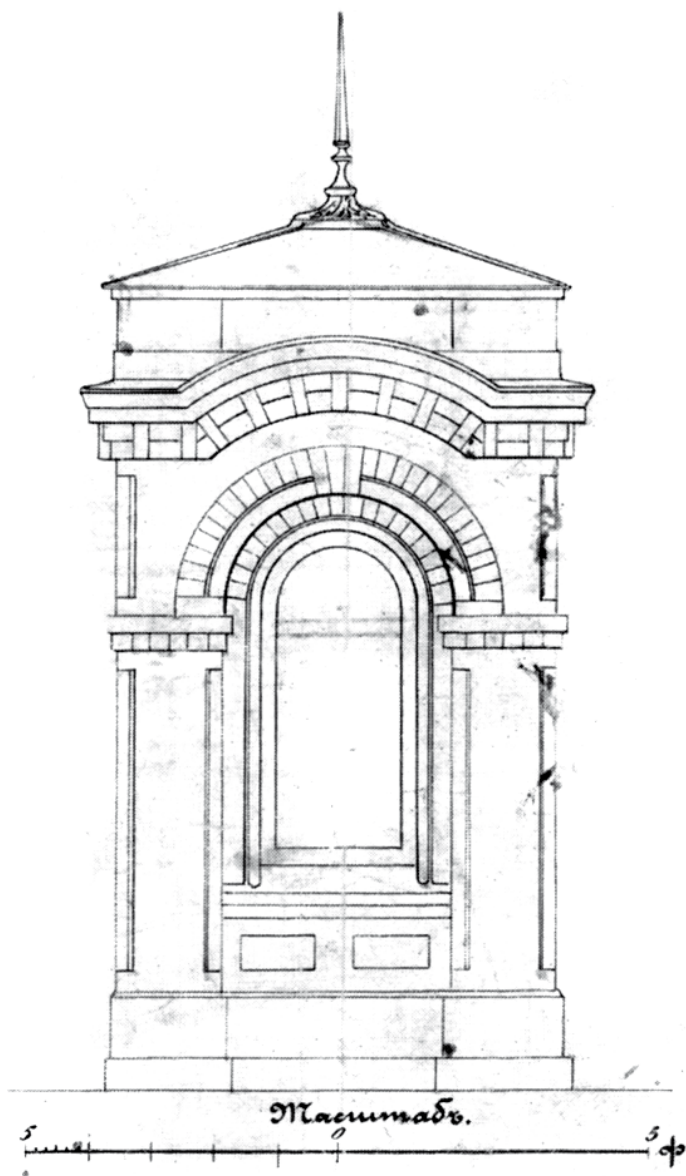
Studzienka, znajdująca się na placu manewrowym dworca autobusowego, do wybuchu II wojny światowej zaopatrywała w wodę mieszkańców Lublina. Była wtedy zlokalizowana na skrzyżowaniu ulic Ruskiej i Szerokiej, niemal w centrum dzielnicy żydowskiej. Dziś jest jedną z niewielu pozostałości po lubelskim Podzamczu, zniszczonym po 1943 roku.

Działania związane z rewitalizacją studzienki zostały podjęte w 2017 roku. Miały na celu rozpoznanie możliwości przeprowadzenia prac remontowych w zakresie konserwacji i zabezpieczenia obudowy, przeszklenia obiektu na osi wschód–zachód, zamontowania iluminacji, a także wymiany nawierzchni wokół studni. W związku z tym wykonano wstępne prace wewnątrz obiektu oraz przygotowano projekt rewitalizacji. Autorem projektu jest Maciej Herman z Herman and Partners Associated Architects. Prace konserwatorskie przy rewitalizacji studzienki rozpoczęły się 12 marca 2018 roku. Zostały przeprowadzone pod nadzorem Moniki Konkolewskiej z Pracowni Konserwacji Dzieł Sztuki w Lublinie.

Działania zostały podjęte z inicjatywy rodziny Juliana i Raphaela Maharich oraz Rotary Club Lublin Centrum. W przedsięwzięciu wzięły udział następujące instytucje: Lubelskie Dворce Spółka Akcyjna, Lubelski Wojewódzki Konserwator Zabytków, Urząd Miasta Lublin, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, oraz osoby prywatne.

Otwarcie obiektu odbyło się 16 kwietnia 2018 roku.

Mapa na stronie obok: fragment *Planu Wielkiego Miasta Lublina*, 1928 r., archiwum Urzędu Miasta Lublin



Projekt obudowy studzienki, reprodukcja z: S. Michałowski, *Sto lat współczesnych wodociągów w Lublinie 1899–1999*, Lublin 1999

Studzienka

Studzienka, źródło, źródło wodny, obudowa źródła ulicznego, budka wodociągowa, a nawet pompokryt to określenia stosowane w odniesieniu do wolno stojącego, niewielkiego budynku, znajdującego się na placu manewrowym dworca autobusowego w Lublinie. Do II wojny światowej budka wodociągowa znajdowała się niemal w centrum dzielnicy żydowskiej, nieopodal skrzyżowania ulic Szerokiej i Ruskiej. W budynku zaopatrywano się w wodę, najprawdopodobniej do zakończenia działań wojennych, potem przez wiele lat był opuszczony i częściowo zdewastowany. Dziś jest jedną z niewielu pozostałości po dzielnicy żydowskiej.

Budynek studzienki założony jest na planie kwadratu. Został zbudowany z żółtej cegły licowej, pierwotnie spajanej zaprawą wapienną. Wnętrze jest przesklepione kolebkowo. Całość pokryta jest daszkiem czterospadowym, o konstrukcji drewnianej, podbitym miedzianą blachą. Daszek jest wyposażony w żygacze, a na szczycie znajduje się żelazna sterczyna z chorągiewką.



Studzienka w okresie funkcjonowania getta na Podzamczu, fot. NN, ok. 1941 r., zbiory Marka Gromaszka

Elewacje budynku zostały opracowane identycznie – w postaci półkolistej arkady wspartej na pilastrach flankujących jednocześnie naroża. Archiwolty arkad są spięte gładkimi zwornikami, natomiast w łukach arkad umieszczono cegły klinowe. Powyżej arkad znajduje się falisty gzyms wykonany z kształtówek, podparty quasi-konsolkami. Zwieńczenie ścian stanowi gzyms profilowany.

Pierwotnie we wschodniej i zachodniej ścianie budynku, w polach arkad znajdowały się półkoliste otwory wypełnione oknami z podziałem na sześć pól, wyposażonymi dodatkowo w drewniane okiennice. Podczas jednego z remontów otwory zaślepiono.



Nosiwoda przy studzience, fot. NN, ok. 1941 r., zbiory Marka Gromaszka

Jadwiga Czerepińska – autorka informacji o obiekcie w *Katalogu architektury przemysłowej w Lublinie* – charakteryzuje jego styl jako „eklektyczny, charakterystyczny dla budowli przemysłowych”.

Nie wiadomo kiedy dokładnie został wzniesiony budynek studzienki. Jadwiga Czerepińska datuje jej powstanie na 1865 rok. W *Aktach miasta Lublina z lat 1809–1874* przechowywanych w zasobie Archiwum Państwowego w Lublinie znajduje się projekt pompokrytu dostarczony do Lublina w 1864 roku przez firmę Zamoyskiego, przy okazji budowy studni u zbiegu ulic Świętoduskiej i obecnej Lubartowskiej. Jak pisze Jadwiga Czerepińska: „Przytaczamy to na dowód, że w tym okresie powstawały w mieście murowane obudowy studni zwane «pompokrytami» do jakich bezsprzecznie należy tzw. zdroj publiczny sytuowany na dworcu PKS. Jakkolwiek odbiega on wyglądem od załączonego wzoru”.

Jednak wydaje się, że obudowa studni mogła powstać nieco później – w okresie, kiedy w 1896 roku w Lublinie rozpoczęto realizację projektu budowy wodociągu przez Adolfa Weisblata.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że historia studni na terenie dzisiejszego dworca autobusowego sięga czasów wcześniejszych niż przełom XIX i XX wieku. Analiza zachowanych w Archiwum Państwowym w Lublinie dokumentów, m.in. z 1859 i z 1863 roku, pozwala sporządzić listę studni znajdujących się w Lublinie. Pośród kilkunastu obiektów tego rodzaju wymienione są studnie-pompy zlokalizowane na terenie dzielnicy żydowskiej – przy ulicy Ruskiej, Szerokiej, „na zejściu się” ulic Szerokiej i Kowalskiej. Studnie te charakteryzowały się mechanizmem składającym się z pompy ssąco-tłoczącej z tłokiem żelaznym, rur żelaznych lub miedzianych oraz pompokrytu z drągiem żelaznym i korbsztangą. Pompokryty były ustawiane na specjalnie dla nich przygotowanych podkładach dębowych.

Prawdopodobnie istniejąca w tym miejscu studnia-pompa została pod koniec XIX wieku osłonięta budką wodociągową. Było to związane ze zmianą zasad zaopatrywania się w wodę



w związku ze wspomnianym wcześniej projektem wybudowania sieci wodociągowej w mieście.

Początek budowy wodociągu w Lublinie datuje się na 13 czerwca 1894 roku, kiedy Zarząd Miasta podjął rozmowy z inżynierem dróg i komunikacji – Adolfem Weisblatem. Kontrakt na budowę i eksploatację wodociągu zawarto w 1896 roku, a 30 maja 1897 roku rozpoczęto budowę wieży ciśnień na dzisiejszym placu Wolności. Oficjalne otwarcie wodociągów miało miejsce 1 lipca 1899 roku. W ramach realizacji projektu planowano budowę pięciu budek wodociągowych.

Protokół ze szczegółowej rewizji budynków, wieży ciśnień, kotłowni pomp Worthinstona jak również studzien – tak zwanych artezyjskich oraz Protokół o dokonanej rewizji Wodociągów Lubelskich z dnia 16 czerwca 1908 roku odnotowują istnienie w mieście ośmiu budek wodociągowych. Niestety w dokumencie nie jest podana ich lokalizacja. Natomiast Stanisław Michałowski w publikacji *Sto lat współczesnych wodociągów w Lublinie 1899–1999* podaje informację o ilości wody sprzedanej w budkach. I tak: w 1909 roku w budkach sprzedano 783 840 wiader, a w 1913 – 877 644 wiader. Woda w budkach wodociągowych była najdroższa: 40 kopiejek za 100 wiader. Co ciekawe, w związku z tym, że w obiegu brakowało monety o nominale $\frac{2}{5}$ kopiejki, emitowano specjalne żetony pozwalające na zakup jednego wiadra wody.

W związku z wprowadzeniem opłat konieczne było zatrudnienie pracowników do pobierania opłat za wodę. W ankiecie z 1909 roku wymieniającej pracowników Wodociągów Lubelskich uwzględnieni są sprzedawcy wody w budkach.

W 1924 roku po zakończeniu przez Zarząd Miasta współpracy z Adolfem Weisblatem prezydent Lublina Czesław Szczepański i przedstawiciel Towarzystwa Ulen and Company podpisali umowę powierzającą Towarzystwu prowadzenie kanalizacji, wodociągów, rzeźni i hal targowych. Studnie

Fotografia na stronie obok: mieszkańcy lubelskiego getta przy studzience, fot. NN, ok. 1941 r., zbiory Marka Gromaszka

miejskie wraz z budkami zostały ostatecznie podłączone do sieci wodociągowej firmy Ulen and Company z lat 20. i były eksploatowane do lat powojennych. Od 1929 roku w ramach Miejskich Wodociągów i Kanalizacji.

W związku z poszerzaniem sieci wodociągowej na terenie miasta, stopniowo zmniejszała się ilość wody sprzedawanej w budkach. Przytoczone przez Stanisława Michałowskiego dane za rok 1935 zawierają informację, że z budek sprzedano 14 638 m³ wody (przy sprzedaży całkowitej – 894 494 m³), co stanowiło tylko 4 m³ dziennie w całym mieście. W związku z tym 28 marca 1938 roku Magistrat podjął uchwałę o stopniowej likwidacji budek do sprzedaży wody z wodociągów lubelskich. Należy zaznaczyć, że budek było wtedy osiem, a ich usytuowanie przedstawiało się następująco:

1. przy ulicy Ruskiej,
2. na rogu Kowalskiej i Szerokiej,
3. przy ulicy Krawieckiej,
4. na placu Targowym – obok ulicy Lubartowskiej,
5. na ulicy św. Ducha naprzeciw kościoła Karmelitów,
6. u zbiegu ulic Kalinowszczyzna i Tatarska,
7. u zbiegu ulic św. Mikołaja i Czwartek,
8. na rynku wieniawskim.

Jednak na podstawie zachowanego materiału ikonograficznego można stwierdzić, że większość tych studzienek funkcjonowała jeszcze w okresie II wojny światowej. Cztery z nich zaopatrywały w wodę mieszkańców getta. Najwięcej materiału ikonograficznego dokumentuje studnię znajdującą się na skrzyżowaniu ulic Szerokiej i Ruskiej. Sposób jej funkcjonowania został również uwieczniony na filmie nakręconym w Lublinie w 1940 roku, a pod koniec II wojny światowej – 22 marca 1944 roku – „Nowy Głos Lubelski” opublikował artykuł pt. *W «wodociągu» sprzedaje się wodę*. Poświęcony został studni przy ulicy Ruskiej, która znajdowała się w granicach getta na Podzamczu.

„W naszym mieście istnieje dużo zabytków starożytności. Ci niemi świadkowie stoją nierzadko niepostrzeżenie dla ludzkiego oka, nikt ich nie rusza, nikt nimi się nie ciekawi.



Studzienka w okresie funkcjonowania getta, fot. NN, ok. 1941 r., archiwum Symchy Wajsa

Niemniej jednak, gdy się dobrze przypatrzeć, mogą one wiele powiedzieć o sobie i o historii miasta.

Zwracamy uwagę na budkę wodociągową, położoną na Starym Mieście przy ul. Ruskiej, którą mieszkańcy przyległych ulic nazywają «wodociągiem». Budka ta przetrwała kilkadziesiąt lat, kilka wojen i ocalała aż do naszych dni. Jak i przed 30-tu laty, siedzi tu «kasjer» i sprzedaje wodę.

Takich «wodociągów» było w Lublinie swego czasu 7. Dziś większość tych weteranów jest nieczynnych względnie w międzyczasie zostały rozebrane. Zaledwie dwie spełniają do dziś dnia swą funkcję. Minęły jednak zapewne bezpowrotnie czasy, kiedy Stare Miasto było jeszcze ludne i przed «wodociągami» stały długie ogonki z wiaderkami, by za 1 grosz zdobyć wiaderko doskonałej wody. Wtedy to wokół wodociągów było gwarno, hałaśliwie, a czasem i wesoło. Wówczas to sprzedawało się od 3 do 4, a nawet więcej tysięcy wiader dziennie.

Dzisiaj panuje tu pustka, mimo że wiaderko wody sprzedaje się po cenie urzędowej za jedyne dwa grosze. Jest wprawdzie kilkadziesiąt stałych klientów, czasem też jakiś woźnica, czy chłop ze wsi jadą przypadkiem napoić konie z «wodociągu», a latem, gdy upał, to i sam napije się orzeźwiającego płynu, ale to już nie czasy dawniejsze!”

Po zakończeniu działań wojennych budynek studzienki przestał pełnić swoją funkcję. Było to konsekwencją eksterminacji ludności żydowskiej, głównych użytkowników studzienki, a także zburzeniem Podzamcza. Częściowo zniszczony budynek zaczął popadać w ruinę.

W latach 70. nieczynny, bez właściciela i użytkownika, był wskazywany jako „rudera do zlikwidowania”, o czym pisał „Sztandar Ludu”. Likwidacji dawnej budki wodociągowej zapobiegło wpisanie budynku do rejestru zabytków (nr rejestru A/633) 30 września 1972 roku.

W 1975 roku Biuro Projektów Kolejowych zaprojektowało plac przy dworcu autobusowym w obecnym kształcie. W związku z tym studzienka stała się własnością Państwowej Komunikacji Samochodowej. Początkowo była użytkowana jako podręczny magazynek. W 1977 roku PKS ponownie



Studzienka w latach 70. XX wieku, fot. Jan Trembecki, archiwum „Kuriera Lubelskiego”

wszczął sprawę rozbiórki studzienki, jako obiektu będącego w bardzo złym stanie technicznym.

W 1980 roku staraniem Miejskiego Konserwatora Zabytków Pracownia Konserwacji Zabytków rozpoczęły prace remontowe. Polegały one na zamurowaniu półkolistych otworów arkad, remoncie elewacji, zrekonstruowaniu daszku namiotowego, zamontowaniu drzwi klepkowych oraz na usunięciu resztek rury wypływowej i demontażu urządzeń wodociągowych znajdujących się we wnętrzu.

Joanna Zętar

Bibliografia:

APL, AmL, 1809–74, sygn, 988, 989, 6547.

Czerepińska J., *Zdrój na placu Dworcowym PKS*, [w:] Czerepińska J., Michalska G., Studziński J., *Katalog architektury przemysłowej w Lublinie*, t. I, cz. II, maszynopis opracowany na zlecenie Państwowej Służby Ochrony Zabytków, Lublin 1995.

Michałowski S., *Sto lat współczesnych wodociągów w Lublinie 1899–1999*, Lublin 1999.

NN, *Zlikwidować ruderę*, „Sztandar Ludu”, 13.12.1972.

Spyrczyński P., *Program prac konserwatorskich przy zdroju ulicznym w Lublinie A/633. Dworzec główny PKS*, Lublin 2000.



Rodzinne dzieje

Urodziłem się w Tel Awiwie. Moi rodzice byli Polakami. Rodzina matki wywodziła się z trzech miast: Kołomyi, Drohobycza i Lwowa. Rodzina ojca pochodziła z Krakowa. To dziedzictwo stanowi tło moich związków z Polską i miłości do tego kraju. Jest też wiodącym motywem w moim życiu. Ani mój ojciec, Zygmunt Morgenbesser (Zeew Mahari), ani babcia ze strony matki, Róża (z d. Landes), nie mówili po hebrajsku, co zresztą było w tamtych czasach zjawiskiem powszechnym. Jedynym sposobem na porozumienie się ze mną było zatem nauczenie mnie języka polskiego. W rezultacie moje pierwsze wspomnienia z dzieciństwa dotyczą nauk, jakie przyjmowałem po polsku z książek, które babcia skrupulatnie sprowadzała z Polski do Izraela w burzliwych politycznie latach 60.

Zanim rozpocząłem podstawówkę w Tel Awiwie, zdążyłem opanować znaczną część materiału omawianego w polskich szkołach podstawowych. Dopiero wtedy, w wieku sześciu lat poszedłem do miejscowej szkoły, w której zacząłem uczyć się po raz pierwszy języka hebrajskiego. Każdego popołudnia wychodziłem ze szkoły po obowiązkowym dwugodzinnym meczu piłki nożnej, rozgrywanym po lekcjach. Wracalem do domu i spędzałem dwie, trzy godziny nad zajęciami z polskiego programu nauczania, który opracowała dla mnie babcia. Poza ćwiczeniami z języka polskiego realizowaliśmy pozostałe treści programowe, które obejmowały także inne przedmioty. Babcia wymagała ode mnie więcej, niż zakładał program – analizowaliśmy najważniejsze dzieła Sienkiewicza i Mickiewicza, a do tego codziennie czytaliśmy utwory wielu innych twórców (Prusa, Słonimskiego), począwszy od literatury dla dzieci autorstwa Konopnickiej i Tuwima. Wyraźnie pamiętam również *Koziołka Matołka*, *Awantury i wybryki małej małpki Fiki Miki*, *Lisa Witalisa*, *Anię z Zielonego Wzgórza*

Fotografia na stronie obok: studzienka w latach 70. XX wieku, fot. Jan Trembecki, archiwum „Kuriera Lubelskiego”

i wiele, wiele innych utworów. Natomiast z największym naciskiem i stanowczością uczyła mnie babcia ortografii. Jedną z zapamiętanych przeze mnie reguł jest na przykład ta dotycząca „rz”, występującego zawsze po spółgłosce „p”, z wyjątkiem słów takich jak pszczoła i pszenica, oraz w przypadku stopniowania. Takie życie w Izraelu nie było dla mnie łatwe, bo przecież moja noga nigdy nie stała w Polsce, ale czułem, że jest w tych trudach coś szczególnego, co dawało mojej rodzinie poczucie bezgranicznego spełnienia.

Na naszej drodze bezustannie napotykałyśmy przeszkody. Wszystkim wokół szczególnie ciążyły wszechobecne i świeże jeszcze doświadczenia II wojny światowej. Niemniej jednak nic nie było w stanie nas powstrzymać. Babcię krytykowano często za to, że wychowywała mnie na „panicza”. W takich chwilach śmiała się tylko i uczyła mnie dalej. Jej miłość do Polski była ogromna, więc prowadziła mnie nie-



Fotografia studzienki z: S. Michałowski, *Sto lat współczesnych wodociągów w Lublinie 1899–1999*, Lublin 1999

przerwanie drogą edukacji, jaką dla mnie wytyczyła – dzień po dniu, rok za rokiem.

Moje życie biegło tak do ukończenia dwunastego roku życia, kiedy to opuściłem Izrael i wyjechałem z rodzicami do Wiednia. Wszystko było tam inne. Uczęszczałem do federalnej szkoły średniej i uczyłem się od podstaw języka niemieckiego. Tylko jedna rzecz nie uległa zmianie – po szkole wracałem do domu i rozmawiałem z rodzicami po polsku. Kiedy sześć lat później skończyłem szkołę, życie poprowadziło mnie do Szwajcarii. Tam język polski i polskie otoczenie zaczęły jakby zanikać. Bardzo wcześnie, bo już w czasie studiów, straciłem oboje rodziców oraz babcię. Poza rzadkimi okazjami do nawiązania rozmowy w autobusie czy na ulicy, nie miałem z kim mówić po polsku.

Aż któregoś dnia na Wydziale Przedsiębiorczości uniwersytetu, na którym zostałem po ukończeniu studiów, podszedł do mnie na korytarzu mężczyzna, pytając o drogę do toalety. Ponieważ byłem wyczulony na dźwięk polskiego języka, w głowie od razu zabrzmiał mi alarmujący dzwonek. Odpowiedziałem mężczyźnie, proponując pewien układ – jakby nie było, znajdowaliśmy się w szkole biznesu – pokieruję go do łazienki, jeśli zdradzi mi, skąd pochodzi. To, co nastąpiło potem, było obszernym wstępem do zażyłej znajomości. Poznałem wtedy śp. profesora Zbigniewa Szelocha z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej (UMCS) w Lublinie, który przebywał na mojej szwajcarskiej uczelni jako profesor wizytujący. Zaprzyjaźniliśmy się, a ja zacząłem otrzymywać od niego częste i coraz goręcej ponawiane zaproszenia do odwiedzin w Polsce.

Może byłem tchórzem. Lata osiemdziesiąte były trudnym czasem i nie odważyłem się na podróż – szczerze mówiąc, sama jej wizja mnie przerażała. Ale w roku 1989 nadeszła wielka odwilż. Jest takie powiedzenie, że nie ma na świecie nic równie potężnego jak idea, której czas właśnie nadszedł. Wydarzenia tego roku dodały mi odwagi potrzebnej do tej podróży. Spakowałem się więc i razem z moim bliskim przyjacielem, rektorem naszej uczelni, po raz pierwszy udałem się w drogę do Polski. Był rok 1989.



Studzienka w latach 70. XX wieku, fot. Stefan Kielsznia, archiwum Jerzego Kielszni

Nie sposób opisać mojego wrażenia – było obezwładniające. Zupełnie, jakbym znalazł się na innej planecie. Nagle dotarło do mnie, że miejsce, które od ponad trzydziestu lat znałem jedynie ze słyszenia, naprawdę istnieje. Udałem się zatem do Lublina, gdzie po raz pierwszy zetknąłem się ze środowiskiem UMCS-u. Od tego pierwszego spotkania wszystko potoczyło się błyskawicznie: zostałem profesorem na UMCS-ie i pracowałem przy kolejnych projektach naukowych. W szerszym kontekście międzynarodowym Polska miała dla mnie kluczowe znaczenie. Z wielu projektów wspominam na przykład pracę przy Narodowym Funduszu Inwestycyjnym (NFI) im. Eugeniusza Kwiatkowskiego. Lata mijały, a ja rozszerzałem swoją działalność w Polsce i regularnie ją odwiedzałem.

W tamtym okresie zostałem także członkiem Rotary Club Lublin Centrum, który i wówczas, i obecnie stanowi w moim życiu prawdziwą wartość. Jak często powtarzam, z Polską mam tylko jeden problem, ale dość poważny: mnie się w tym kraju *o wiele* za dobrze dzieje.

Wracając do Lublina i UMCS-u: po dwudziestu latach zakończyłem współpracę z uczelnią. Po części stało się tak na skutek kiepskich relacji z jednym z tamtejszych profesorów, który przez pewien czas pełnił na UMCS-ie funkcję dziekana. Całkiem przypadkowo – przy okazji mojej pracy w sieci klubów rotariańskich – poznałem Alojzego Nowaka, byłego prorektora i obecnego dziekana Wydziału Zarządzania na Uniwersytecie Warszawskim. W ciągu ostatnich lat blisko ze sobą współpracowaliśmy. Mamy także wspólną wizję przyszłości. Alojzy – na równi z Rotary Club Lublin Centrum – stał się niejako fundamentem moich stałych działań w Polsce.

Poza pracą naukową pociąga mnie również działalność praktyczna. Wiąże się ona głównie z oferowaniem wsparcia inwestorom w Szwajcarii i poza jej granicami przy planowaniu i przeprowadzaniu różnego rodzaju transakcji finansowych. Mam także zaszczyt być członkiem rad nadzorczych i pracować w organach administracyjnych oraz pełnić inne funkcje doradcze.

Jak już wspomniałem, moja rodzina ze strony mamy pochodzi ze Lwowa (z tego, co wiem, mieszkali przy placu Smółki), a także Drohobycza i Kołomyi („Kołomyja ne pomyja, Kołomyja misto”). Landesowie, rodzina mojego pradziadka, odegrali tam znaczącą rolę. Naszą rodzinną historię po części opisuje Teresa Kaczorowska w książce *Dzieci Katynia* (Warszawa 2010).

Ojciec cioci Wandzi, Robert Dresdner, był we Lwowie lekarzem. Kiedy wybuchła II wojna światowa służył jako oficer Wojska Polskiego. Skontaktował się wówczas z babcią i nakazał jej uciekać z córkami ze Lwowa bez niego. Nigdy już się nie spotkali. Robert Dresdner został zamordowany w Katyniu w 1940 roku.

Wzruszała mnie miłość, jaką stale żywiła do Polski moja rodzina. Przez całe życie nad łóżkiem mojej babci wisiał obraz Matki Boskiej. Podobnie jak w przypadku większości rodzin, wielu moich bliskich zostało zamordowanych w czasie II wojny światowej. Babci udało się uciec wraz z dwiema córkami – moją mamą Ireną i jej siostrą Wandzią. Podążając trudnymi, krętymi ścieżkami, które wiodły przez Rumunię, udało im się dotrzeć do celu i znaleźć schronienie w ówczesnej Palestynie.

Jednym z efektów mojego wychowania była ogromna ilość wyuczonych na pamięć cytatów, anegdot i żartów (żydowskich i innych) autorstwa słynnych pisarzy. Jednym z nich był Marian Hemar z Londynu, gdzie zresztą miałem zaszczyt go poznać. To tam, w polskim centrum kultury „Ognisko” oglądałem polską sztukę *Śluby panięskie* – „już czuję zapach łez”. Całe godziny, a prawdopodobnie i dni, mógłbym spędzić na opowiadaniu takich historyjek, recytowaniu wierszy i cytowaniu fragmentów, a wszystko – jak wiele osób zauważyło – z lwowskim akcentem oddającym atmosferę ówczesnego Lwowa. Innym rodzinnym „spadkiem” jest miłość do polskiej kuchni: sporo czasu zajęło mi zrozumienie, że „paluszki”, które tak kochałem jako dziecko, to nic innego jak polskie „kopytka”...

Droga, jaką przebył mój ojciec, była już zupełnie inna. Pochodził z Krakowa, gdzie był adwokatem. Podczas wojny należał do partyzantki. Na jego pogrzebie opowiedziałem historię, którą chciałbym podzielić się również w tym miejscu:

Przebrany za esesmana, ojciec wjechał ciężarówką w ogrodzenie obozu koncentracyjnego (nie pamiętam którego, jego nazwę zapisałem gdzieś w dokumentach; wydaje mi się, że ojciec nosił na czas tej misji pseudonim „Kozakiewicz”). Przebił się przez ogrodzenie i w ten sposób ocalił wiele osób, którym groziła śmierć. Killkoro z nich przyszło na pogrzeb ojca. Emocje, wdzięczność i wspomnienia, których byłem świadkiem w tamtym dniu, towarzyszą mi do dzisiaj. Cała wielka rodzina mojego ojca została zamordowana. Pozostało po nich jedynie kilka fotografii.

Fotografia na stronie obok: dworzec autobusowy w latach 70. XX wieku, w tle widoczna studzienka, fot. NN, zbiory Lubelskich Dworców Autobusowych



Mój ojciec mówił mało, bardzo mało, tak naprawdę zbyt mało o tamtych czasach. Ale kilka doświadczeń z dzieciństwa, nawiązujących do przeszłości, szczególnie wyraźnie zapisało się w mojej pamięci. Kiedy chodziłem do szkoły średniej w Wiedniu, nauczyłem się jeździć konno. Pękałem z dumy, prezentując się któregoś dnia rodzicom w świeżo zakupionym, kompletnym mundurze jeździeckim – łącznie ze skórzanymi butami i szpicrutą. Ojciec zbladł wtedy, zachwiał się i wyszedł z pokoju. Matka wytłumaczyła mi jego reakcję: mój strój przywołał wspomnienie umundurowania esesmanów. Takich rzeczy się nie zapomina.

Chciałem poświęcić teraz kilka słów moim dzieciom, a więc przyszłości. Wandzia, siostra mojej mamy, będąca już w dość sędziwym wieku, ale wciąż z ogromnymi pokładami energii i oddania, nauczyła języka polskiego mojego najstarszego syna, Roberta Zeva (ur. 1995). Fakt ten jest dla nas źródłem niezwykłej dumy i radości. Jak twierdzi Robert, znajomość języka polskiego nadała jego życiu dodatkowego wymiaru i podniosła niewiarygodnie jego jakość. Robert towarzyszy mi często podczas podróży do Polski i mam wrażenie, że już zdążył doświadczyć tego samego, co ja: jemu się w tym kraju *o wiele* za dobrze dzieje. Możecie sobie wyobrazić, jaki byłem dumny i szczęśliwy, kiedy ostatnio na Uniwersytecie Warszawskim prowadziłem wspólnie z nim warsztaty MBA.

Wandzia była utalentowaną poliglotką: знаła biegle około siedmiu języków i pracowała w Genewie jako tłumaczka. Kiedy przeniosła się do Izraela, została dyrektorem biura podróży. Będąc już na emeryturze, spędzała z moim synem Robertem niesamowicie dużo czasu, czytając mu wiele z tych bajek, które babcia czytała mi kilkadziesiąt lat wcześniej. Wandzia współpracowała także z Centrum Przeciw Antysemityzmowi działającym przy Uniwersytecie w Tel Awiwie, analizując przekazy medialne w wielu językach.

Niestety, Wandzia nie zdążyła już nauczyć języka polskiego mojego młodszego syna Raphaela, który urodził się w 1998 roku. Również on zupełnie dobrowolnie poświęcił się kulturowaniu rodzinnego dziedzictwa. Z niezwykłym zapalem re-

alizuje wspaniale projekty lubelskiego klubu rotariańskiego. Pracował między innymi na rzecz Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia i przy projekcie, którego odsłona zaplanowana jest na 16 kwietnia 2018 roku. Do niego należy będzie przedstawienie tego projektu światu, a dla mnie jest czymś niewypowiedzianie satysfakcjonującym móc przyglądać się synom zaangażowanym w działania tego rodzaju.

Julian Mahari



Family Story

I was born to Polish parents in Tel Aviv. My mother's family originated from a triangle of cities: Kołomyja, Drohobycz and Lwów. My father's side of the family was from Kraków. This heritage represents the background of a relationship to and a love for Poland that would be central themes in my life from then on.

As was common during those times, neither my father Zygmunt Morgenbesser (Zeew Mahari) nor my maternal grandmother Róża (Rosa) b. Landes spoke a word of Hebrew, so that the only means of communicating with me was to teach me the Polish language. Thus, my first childhood memories are of the Polish instruction I received, with books *Babcia* painstakingly imported from Poland to Israel during the politically tumultuous sixties.

By the time I began elementary school in Tel Aviv, I had covered substantial portions of the Polish primary school curriculum. It was only then, aged six, that I began attending a local school where I began to learn Hebrew for the first time. Every afternoon I would leave school – after the obligatory two-hour soccer game that followed – return home and dedicate 2-3 hours to the Polish syllabus *Babcia* had prepared. Beyond practicing the language, we would also cover the Polish learning material for all other subjects. *Babcia* pushed me further still: we would study Sienkiewicz and Mickiewicz, their most well-known works, and at least a dozen other authors (Prus, Słonimski) on a daily basis (starting with children's literature by Konopnicka, Tuwim). I also vividly recall *Koziółek Matolek*, *Awantury i wybryki malej małpki Fiki Miki*, *Lis Witalis*, *Ania z Zielonego Wzgórza* and many many more. *Babcia* taught me orthography with particular focus and strictness, one memory among many others: the letter “p” is always followed by “rz”

Fotografia na stronie obok: studzienka przed remontem, 2008 r., fot. Marcin Moszyński

with the exception of pszczoła, pszenica and “stopniowanie” (comparative and superlative adjectives). I struggled with this life in Israel, having never stepped foot in Poland, but I knew that it was something special that brought endless fulfillment to our family.

Again, and again we encountered hurdles. Especially the omnipresent and fresh experiences of the Second World War weighed heavily on those around us. We were, however, unstoppable. One of the criticisms my grandmother would often hear was that she was raising a “panicz”. She would just laugh and continue our lessons. Her love for Poland was tremendous, and she continued leading me down the educational path she created, day after day, year after year.

This continued until I turned twelve, when I left Israel with my parents to move to Vienna. There everything was different. I attended the federal secondary school and learned German from the ground up. One thing would not change, however, after school I would return home and speak Polish with my parents. Six years later I graduated, and life took me to Switzerland. There the Polish language and surrounding began to disappear. I lost my parents and grandmother early – during my studies. Aside from the rare opportunities to strike up a conversation in a bus or street I simply had no one to speak Polish to.



Studzienka przed remontem – detal, 2008 r., fot. Marcin Moszyński

And then one day at the Business Department of my university where I worked after completing my studies I was approached by a gentleman in the hallway and asked for directions to the restroom. Sensitized to the sound of the Polish voice, bells went off in my mind. I answered by proposing a deal – we were in a business school after all – I would reveal the directions and the gentleman would share his country of origin. What followed was an extensive introduction that resulted in a close relationship. I had met the late Professor Zbigniew Szeloch from the Maria Curie-Skłodowska University (UMCS) in Lublin who was at my Swiss university as a visiting professor. We became friends and he began repeatedly, and increasingly firmly, inviting me to Poland.

Perhaps I am a coward. The eighties were a difficult time and I did not dare to attempt the trip and was frankly intimidated by the prospect. In 1989 the big change came. True to the saying that nothing is as strong as an idea whose time has come, the changes of that year gave me the courage to go. I packed my bags and together with the Rector of my university, with whom I had a close relationship, I traveled to Poland. For the first time. In 1989.

The experience was indescribable, overwhelming, like standing on another planet. Suddenly I realized that this place, about which I had only heard for over 30 years, truly existed. Thus, I travelled to Lublin where I had my first contact with the UMCS. From there, things proceeded like an avalanche: I became a professor at the UMCS and began working on one project after the next. Poland, generally in an international context, was central to this. Among other things, I recall working on the National Fund for Investment (NFI) named Kwiatkowski. The years passed, and I continued to expand my presence in Poland visiting regularly.

During this time, I became a member of the Rotary Club in Lublin, which then and now represents true life quality for me. As I frequently reiterate, Poland presents a single, albeit grave, problem to me: Poland treats me far too well.

Back to Lublin and the UMCS: After 20 years I concluded my activities at the university. In part, this was the result of a poor relationship with a UMCS professor who intermittently served as dean. By coincidence, and not least as a result of the Rotarian network, I got to know Alojzy Nowak, former prorector and current dean of the management faculty at the University of Warsaw. Over the past years, we have worked together closely, and the future promises to be fruitful and exciting. Alojzy has become a pillar in my now constant activities in Poland – alongside the Rotary Club in Lublin.

In addition to my academic activities, I am also drawn to practice. In particular, I assist investors in Switzerland and beyond by designing and carrying out various types of (financial) transactions. I also have the honor of serving on a number of boards and in other advisory functions.

Regarding my family: as I mentioned, my mother's side of the family is originally from Lwów (I believe they lived at the Smółka Square), Drohobycz and Kołomyja (“Kołomyja ne pomija, Kołomyja misto”); my great grandfather (Landes Family) was major there. Our family history is recounted partly in the book *Children of the Katyn Massacre: Accounts of Life After the 1940 Soviet Murder of Polish POWs* by Teresa Kaczorowska.

My aunt Wandzia's father, Robert Dresdner, was a physician in Lwów. When the Nazi threat suddenly came, he was serving as a high-ranking Polish officer. He contacted his family and told them to flee without him. Babcia managed to escape with her two daughters who would never see him again; in 1940 Robert Dresdner was murdered in Katyń as a Polish Officer.

It was moving to constantly experience my family's love for Poland. During her entire life my grandmother had a portrait of Matka Boska hung above her bed. Like many others, a majority of my mother's family was murdered during the Second World War and Babcia fled with her two daughters, my mother



TAXI

196-66 194-55

RADIO TAXI SZCZECIN

856 66 66



Irena and her sister, my aunt Wandzia. Through a difficult and winding path (through Romania), they made it to safety in then-Palestine.

One of the results of my upbringing was the memorization of an incredibly volume of literary quotes, anecdotes and jokes (Jewish and others) that were authored by well-known writers. One of these was Marian Hemar in London where I had the honor of meeting him. There, in the Polish cultural center Og-nisko, I remember watching the Polish drama *Śluby panięskie* – “już czuję zapach łez”. I could fill hours, probably days, with such stories, reciting poems and quotes – as I am told with an accent and spirit from Lwów. The love for Polish cuisine is another manifestation of my family’s heritage: it took me some time to realize that what is known as Kopytka in Poland today is nothing else than the Paluszki I knew and loved as a child...

My father’s path was completely different. He was from Kraków where he practiced as an attorney. During the war he fought for the Partisans. At his funeral I recounted an episode, which I would like to share here:

Disguised as an SS man he drove a truck into the wall of a concentration camp (I cannot recall which one, but its name is archived somewhere in my files, I believe his pseudonym during this mission was Kozakiewicz). He broke through the wall and hereby saved many who were facing murder. A few of them attended my father’s burial; the emotion, gratefulness and memories I witnessed on that day have stayed with me. My father’s entire family, it was a large one, was murdered; all that remained are a few photographs.

My father spoke little, very little, indeed too little about those years. A number of related experiences from my childhood have remained particularly vivid: During my middle school years in Vienna I learnt to ride. Full of pride I recall presenting my parents the riding uniform I had purchased, complete with leather boots and a riding crop. My father grew pale,

Fotografia na stronie obok: studzienka przed remontem, 2010 r., fot. Joanna Zętar

swayed and left the room. My mother explained his reaction: my uniform reminded him of what the SS men wore. These are experiences one never forgets.

Allow me to speak about my kids, and thus the future. Already quite advanced in age, but with incredible energy and dedication Wandzia – my mother's sister – taught my eldest son Robert Zev, born 1995, the Polish language. This brings us incredible pride and joy. As Robert says himself, it has given his life an additional dimension and incredibly life quality. Robert often accompanies me on my trips to Poland and it seems that he experienced the same singular flaw I have: Poland simply treats him *too well*. You can imagine the pride and joy I felt when we taught an MBA workshop at the University of Warsaw together recently.

Wandzia was a gifted polyglot: she spoke some seven languages fluently and worked as an interpreter in Geneva before moving to Israel to work as the director of a travel agency. She spent an extraordinary amount of time with my son Robert, reading many of the stories to him that Babcia had read to me decades earlier. During this time, Wandzia also worked with the Center against Antisemitism at the Tel Aviv University where she contributed by analyzing media in various languages.

Unfortunately, Wandzia did not have the time to teach my younger son Raphael, born 1998, Polish. Unencumbered, he too has dedicated himself to the family legacy. He is incredibly driven to pursue wonderful projects with the Rotary Club in Lublin including work with the Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia and another project that will be unveiled on April sixteenth. It is up to him to share the project with the world, for me it is unspeakably fulfilling to see my sons engaged in activities of this kind.

Julian Mahari



Studzienka i Raphael

Mecenas projektu:

Rodzina Juliana i Raphaela Mahari
Rotary Club Lublin Centrum

Współpraca:

Lubelskie Dworce Spółka Akcyjna
Lubelski Wojewódzki Konserwator Zabytków
Urząd Miasta Lublin
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
oraz osoby prywatne

Projekt architektoniczny:

Maciej Herman (Herman and Partners Associated Architects)

Nadzór konserwatorski:

Monika Konkolewska
(Pracownia Konserwacji Dzieł Sztuki w Lublinie)

Autorzy tekstów:

Julian Mahari, Tomasz Pietrasiewicz, Joanna Zętar

Tłumaczenie z języka angielskiego:

Monika Metlerska-Colerick

Współpraca:

Marek Gromaszek

Projekt graficzny i skład:

Michał Kaczkowski

Nakład: 400 egzemplarzy

Wydawca:

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”



Publikacja udostępniona w sieci pod adresem:

www.biblioteka.teatrnn.pl



INSTYTUCJA
KULTURY
MIASTA LUBLIN

Lublin®
MIASTO INSPIRACJI

